

# Florian Śmieja

---

## Swoje jednak trzeba robić : Benedykt Heydenkorn (1906-1999)

---

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 3, 241-247

---

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## SWOJE JEDNAK TRZEBA ROBIĆ

BENEDYKT HEYDENKORN (1906–1999)

W niedzielę 10 października 1999 roku zmarł w Toronto wytrawny dziennikarz, wydawca, erudyta, wybitny redaktor z niedościgłej szkoły Grydzewskiego i Giedroycia.

Benedykta Heydenkorna (dla najbliższych, Bumka) poznałem zaraz po przyjeździe do Kanady w 1969 roku. O jego młodości nie dowiedziałem się zbyt wiele, gdyż nigdy o sobie nie mówił, a szczególnym tabu obłożony był okres polski jego życia. Urodził się w roku 1906 we wsi Stara Bircza koło Przemyśla. Był jednym z najmłodszych „Orląt Lwowskich”. Jeszcze jako uczeń gimnazjalny wkradał się na wykłady profesorów uniwersytetu prowadzonych w Ossolineum. Na Uniwersytecie Warszawskim był wolnym słuchaczem, ale już w 1926 jeszcze jako student — notuje Jan Kowalik — rozpoczął pracę dziennikarską „pisząc korespondencje stołeczne do «Dziennika Lwowskiego», okazjne artykuły do pro-rządowej «Epoki» i do dodatku literackiego «Głosu Prawdy» prowadzonego przez J. Kadena-Bandrowskiego. Jakiś czas współpracował z «Buntem Młodych», z «Kroniką Polski i Świata» a także z «Drogą» redagowaną przez Wilama Horzycę. Kariera jego stabilizuje się, kiedy młody dziennikarz związał się z warszawskim biurem dziennika «Berliner Tageblatt». Przez sześć lat do wybuchu wojny pracował jako polityczno-parlamentarny korespondent francuskiej agencji prasowej Havas”. Bywał w Paryżu, którego polską kolonię poznał doskonale.

Z chwilą, kiedy wybuchła wojna, skończył się polski epizod bezpowrotnie. Rozdział zamknięty, o którym mówił niechętnie. W Kanadzie wiele rzeczy go radowało, nie uchylał się od pracy dla niej. Ale — wyznał — że wszystko, co go otaczało, nie było jego. O Polsce szczęśliwej nie chciał mówić, ale czuło się, że to było jego jedyne ukochanie.

Z obłożonej Warszawy 17 września skierował się na południowy wschód wpadając w ręce NKWD. Udało mu się polknąć wszystkie papiery. Przesłuchiwany najpierw w więzieniach na terenie Polski, został deportowany do łagrów w Woroneżu i Dniepropietrowsku. Może te przeżycia sprawiły, że nie lubował się wcale w kulturze rosyjskiej. Dzięki układowi Sikorski-Stalin wyszedł na wolność i dotarł do Tatiszczewa, gdzie zgłosił się do formującej się tam Armii Polskiej. Razem z nią ruszył przez Persję i Irak do Palestyny, a następnie z II Korpusem do Włoch. Po zakończeniu wojny demobilizował się w Anglii i stamtąd w roku 1949 przyjechał do Kanady.

W wojsku dziennikarstwa nie zaprzestał: w 1944 roku we Florencji mianowany został zastępcą redaktora naczelnego „Dziennika Żołnierza” a następnie redagował go aż do likwidacji w 1946 roku. W Anglii pracował czas jakiś w „Słowie Polskim” a potem w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”.

Faza kanadyjska zaczęła się od kontraktowej pracy fizycznej. Ale z czasem Heydenkorn znalazł zatrudnienie w biurze hamiltonskiego oddziału Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Przychylny zbieg okoliczności umożliwił mu powrót do dziennikarstwa. W tym czasie z preryjnych ośrodków polonijnych w Manitobie i Saskatchewan punkt ciężkości przesuwać się zaczął na wschód, głównie do Quebecu i Ontario. Toronto stało się stolicą wojennej fali emigracyjnej. Tam od lat ukazywał się „Związkowiec”, organ Związku Polaków w Kanadzie. Z „Gazety Katolickiej” i „Głosu Polskiego” powstał pod redakcją Stanisława Zybala nowy „Głos Polski”. O pierwszym spotkaniu z Heydenkornem Zybala wspomina:

W lipcu 1950 roku wypuściłem spod prasy pierwszy numer „Głosu Polskiego”. Byłem sam jeden w redakcji, harowałem ciężko, zwłaszcza po fuzji z winnipską „Gazetą Polską”. Znany adwokat warszawski, Jan Ostrowski, kapitan w czasie wojny, prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kanadzie, do którego również należałem, wspominał mi parę razy nazwisko Heydenkorna sugerując, że byłby dobrym nabytkiem dla „Głosu”. Podkreślił, że czyni to na prośbę gen. Władysława Andersa, który nie zapomniał o swym byłym podwładnym i interesował się jego losem.

W rezultacie Bumek zjawiał się w redakcji. Pogadaliśmy, nie przypuszczając, że to początek długiej przyjaźni. Zaczął mi przysyłać z Hamiltonu (bezpłatnie, bo na honorarium nie było funduszy) artykuły, recenzje i eseje różnie podpisywane. W 1952 roku wydawca, Komitet Prasowy, Związku Narodowego Polskiego zaaprobował powiększenie redakcji o jedną osobę. Bumek zaczął pracować, pół etatu w redakcji, pół w administracji pisma. Jaką mieliśmy z niego pociechę w administracji, lepiej nie wspominać, ale jego pomoc w redakcji przeszła moje najśmielsze oczekiwania.

W „Głosie Polskim” Heydenkorn pracował do roku 1957. Wtedy przeszedł do kierowanego przez Franciszka Głogowskiego „Związkowca”. We wrześniu 1964 Heydenkorn objął ster pisma. W odróżnieniu od pro-londyńskiego „Głosu Polskiego”, „Związkowiec” miał tradycję pisma liberalnego, świeckiego, trybuny emigracji robotniczo-chłopskiej, która uważała się za obywateli kanadyjskich o polskim rodowodzie i sentymentach, ale chciała być niezależna od politycznych dyrektyw zarówno starego kraju jak też polskich władz emigracyjnych. Polonia ta angażowała się po stronie kanadyjskiej wchodząc w struktury gospodarcze, społeczne i polityczne kraju zamieszkania.

Jako zawodowy dziennikarz z długim stażem doświadczenie swoje wprzągnął w pracę nad ewolucją „Związkowca”, który wybitnie przyczynił się do spopularyzowania istotnych akcji społecznych takich jak zbiórka pod hasłem „chleb dla Polski”. Ważną też rolę odegrał w kontrowersyjnej w swoim czasie akcji zwrotu Polsce skarbów wawelskich. (Choć w niedawnym artykule amb. RP prof. B. Grzełoińskiego na ten temat padło wiele nazwisk, nie znalazłem wśród nich nazwiska Heydenkorna). Utrzymawszy formę półtygodnika Heydenkorn zapewnił drobne honoraria, by przyciągnąć do współpracy znaczniejsze pióra. Dzięki prestiżowi pisma współpracowali z nim m.in. pisarze i publicyści: Adam Ciołkosz, Andrzej Chciuk, Maria Kunciewiczowa, Jan Nowak-Jeziorański, Józef Mackiewicz, Danuta Mostwin, Tadeusz Nowakowski, Wacław Zagórski. Pisali liczni korespondenci terenowi, z Polski przywozili niecenzurowane artykuły pierwsi korespondenci odwiedzający kraj. Heydenkorn wprowadzał nowe działy, wydawał numery specjalne, w tym świąteczne, nieraz liczące do 80 stron.

Za jego redakcji „Związkowiec” stał się najlepszym i najbardziej poczytnym pismem polonijnym w Kanadzie o imponującym nakładzie 12,500 egz. i wielu wiernych czytelnikach. Rozchodził się nie tylko na kontynencie amerykańskim, ale wędrował też do różnych krajów na świecie.

Heydenkorn rozumiał, że współpracowników trzeba sobie dobrać, zachęcać i utrzymywać z nimi ścisły kontakt. Odwiedziny redakcji zawsze znamionowały ciepłe przyjęcie i inspirującą rozmowę ze znakomitą osobowością. Tajemnicą jego atrakcyjności dla wielu była jego skromność i bezinteresowność.

Nie usiłowałem nigdy być czołową osobistością, wybijać się. Byłem pracownikiem. Wyszukiwałem ludzi.. Zaden z moich szefów nie bał się mnie, mimo że czasami był słabszy ode mnie. Usiłowałem i starałem się pracować jak najlepiej w granicach, które przyjąłem albo które do mnie należały. Dlatego nie byłem w żadnej organizacji, nie mogłem być pod wpływem czy w zależności. Należałem tylko do zawodowych organizacji. Przed wojną do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Skromność ta, tak w naszym środowisku rzadka że aż podejrzana, niekiedy tylko była zauważana a anonimowy reporter „demaskowany” przez zorientowanych czytelników. Franciszek Głogowski w liście do redakcji (Związkowiec, 9.12.1986) zatytułowanym „Czy nie zbytnia skromność?” upominał się o swojego byłego współpracownika i rzucił m.in. myśl, że należało „w jakiejś formie wyrazić uznanie i wdzięczność za tytaniczną wprost pracę red. Heydenkorna na polu dziennikarstwa w Kanadzie i jego dorobku w dziedzinie badań historycznych i socjologicznych”. Zasugeterował też, by „Związkowiec” stał się inicjatorem takiej imprezy skoro przez bez mała dwadzieścia lat Heydenkorn był jego redaktorem. Stopniowa degrengolada pisma, bardzo odmienni ludzie i inne cele sprawiły, że myśli tej nie podjęto.

Lojalność współpracowników Heydenkorn zaskarbiał sobie ciągłym życzliwym kontaktem. Wyszukiwał ich, zachęcał, czasem również lałał. Umiał pochwalić, pogratulować a także wysłać ponaglenie. „... Ale ja z pretensjami. I to mocnymi. Gdzie jest Twój artykuł? Widzę iż bardziej Cię już interesuje felieton, krytyka (zawsze grzeczna, powściągliwa), aniżeli poważny artykuł, esej. To wstyd i źle! A więc do dzieła.” I jeszcze dodał: „PS. I jestem zły!!!”

Jan Kowalik w swoim artykule w „Kulturze” (10/1977) napisał, że Heydenkorn „...zostawił ustabilizowane pismo polonijne na dobrym poziomie, zrównoważone, tolerancyjne, pro-kanadyjskie, ale zarazem otwarte na świat, a przede wszystkim na Polskę”. W liście prywatnym natomiast Heydenkorn zwierzył mi się:

[...] Nie chciałem dłużej robić „Związkowca” z wielu względów, ale chyba zdecydowało stwierdzenie, iż nie mam partnerów dla przeprowadzenia zasadniczych spraw a sytuacja jest krytyczna. Nie obawiam się, ale jestem głęboko przekonany, iż nie tylko „Związkowiec” będzie spadał, ale Związek Polaków w Kanadzie, jak również inne organizacje. Trzeba bowiem prawdziwej reformy, poważnych zmian a brak do tego odpowiednich ludzi.

Heydenkorn pisał również do innych pism m.in. do „Dziennika Polskiego” w Londynie i paryskiej „Kultury”, w której przez wiele lat redagował „Kronikę kanadyjską”. Kiedy zaczął odwiedzać Polskę i pisać korespondencje korygujące stereotypy panujące w emigracyjnej prasie, naraził się wielu ludziom innych poglądów. Nie zrażał się tymi głosami, bo otrzymywał też inne opinie. W. Giełżyński, jeden z czołowych dziennikarzy przedwojennych podnosił wysokie walory artykułów Heydenkorna o Polsce z roku 1958, kiedy tak łatwo było o przeholowanie w jedną czy drugą stronę, o bezkrytyczne potępienie lub lizusowskie chwalenie. Tego języczka u wagi odmierzającego sprawiedliwie umiał Heydenkorn pilnować. Zauważyły to i doceniały najwyższe polskie autorytety takie jak J. Turowicz, S. Kisielewski, M. Kula czy M. Krapiec.

Po odejściu ze „Związkowca” na emeryturę w 1977 roku Heydenkorn przez cztery lata pracował jako wolontariusz w Multicultural History Society of Ontario. Taka praca nie była dlań żadną nowością, wszak już w Polsko-Kanadyjskim Instytucie Badawczym, którego był jednym z założycieli a potem długoletnim zastępcą dyrektora, ani W. Turek, T. Krychowski, R. Kogler czy Heydenkorn grosza nie brali za swą pracę. Byli społecznikami dawnej daty i dzięki takiej postawie mogli tyle dokonać przy notorycznym braku finansowego wsparcia. Dzięki tej współpracy z History Society wyszły cztery „polskie” prace zaś periodyk „Polyphony” regularnie drukował teksty o tematyce polskiej. W uznaniu zasług nadano Heydenkornowi tytuł członka honorowego oraz ustanowiono stypendium jego imienia dla młodych badaczy problemów etnicznych w Kanadzie.

Heydenkorna spojrzenie socjologa na społeczeństwo datuje się z lat trzydziestych. Wtedy zadebiutował pracą *Proletaryzacja inteligencji zawodowej w Polsce*. W Kanadzie jako dziennikarz i współzałożyciel Polsko Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, w aurze wielkodusznych pociągnięć rządu kanadyjskiego uwieńczonych wprowadzeniem polityki wielokulturowości, w miejsce dawnego zdezawuowanego tygla, jego dynamizm wyładowywał się w ochoczej pracy nad kanadyjską Polonią.

Poświęcił jej wiele artykułów i szkiców, dla niej napisał, wprowadził i redagował bez mała dwadzieścia tomów prac w języku polskim ale także angielskim i francuskim.

Wprowadzając tom tekstów referatów wygłoszonych w 1977 roku w Barry’s Bay na tzw. Sympozjum 50 (choć uczestników, jak pamiętam, było więcej) Heydenkorn wypowiedział swoją tezę, którą miał przez całe życie rozwijać, że Polonia nie jest organizmem zamkniętym, że jest powiązana w sposób szczególny z Kanadą, jako krajem osiedlenia, i Polską, ziemią pochodzenia i że te związki wpływają na oblicze Polonii. W miarę upływu czasu i zmian zachodzących w Polsce i w Kanadzie, należało przystosowywać organizacje polonijne do nowych sytuacji i zadań, by nie utracić kontaktu z młodym pokoleniem.

Heydenkorn ochoczo sam włączył się do ogólnej dyskusji nad istotą i rolą wielokulturowości pisząc artykuły po polsku i po angielsku na przykład: „The Social Structure of Canadian Polonia” (1969), „Polish Contribution to Canadian Culture” (1970), „The Immigration Policy of Canada” (1971), „The Polish Alliance of Canada” (1974), „Poles in Canada” (1974) wraz z R. Koglerem, „Memories of the Polish Immigrants” (1974) czy „Memories of the Polish Immigrants to Canada” (1975), żeby wymienić jedynie prace, które ukazały się w języku angielskim. Jego wielka rola motoru polskich wysiłków celem nadrobienia braków w dokumentacji Polonii kanadyjskiej objawiła się szczególnie w pracach wydanych przez Instytut Badawczy, którego był nie tylko współzałożycielem, ale przez długie lata wicedyrektorem i duchem sprawczym.

Talentem swoim zabłysnął wydaniem monografii *Poles in Manitoba*, którą Wiktor Turek pozostawił w manuskrypcie, a która wymagała mozolnego opracowania i rewizji. Podobnego zachodu

potrzebowała angielska wersja *Tworzywa* Melchiora Wańkowicza, które jako *Three Generations* wyszło w roku 1973. Także niedokończona antologia Danuty Bieńkowskiej *Meeting Polish Writers* doznała edytorskiej pieczy Heydenkorna.

Posypywały się następnie tomy rozpraw i materiałów dokumentarnych o kanadyjskiej Polonii, inspirowane, wspomagane, a potem fachowymi i wnikliwymi wprowadzeniami opatrzone i wydawane przez Heydenkorna. Traktowały one o polonijnym szkolnictwie, o prasie, o organizacjach społecznych, o literaturze emigrantów, o osadnictwie chłopów, o roli kobiety na emigracji, o środowisku polskim w Toronto. Jedną z publikacji, *Poles in Toronto* (1982) to analiza ankiety przeprowadzonej przez Ewę Morawską i Rudolfa Koglera w 1978 roku. Opisanie Polaków w Toronto leżało Heydenkornowi na sercu. Nawracał chętnie do tego tematu w swoich rozmowach i zachęcał do pisania przyczynków wszelkiego rodzaju, by ułatwić pracę przyszłym badaczom Polonii. Książka jest fachową pozycją o naukowym podejściu i zachowaniu ostrożności w formułowaniu wniosków. Inną próbą studium tegoż tematu to opracowany przez Heydenkorna specjalny numer półrocznika „Polyphony” poświęcony „Poles in Ontario”, praca nadal bardzo autorytatywna.

Historię całej grupy polskiej w Kanadzie Heydenkorn wspólnie z Henrykiem Radeckim opracował modelowo w znakomitej monografii *A Member of A Distinguished Family: The Polish Group in Canada* (1976). Ukazała się ona po angielsku i po francusku i doskonale się prezentuje w serii wydawnictwa Ministerstwa Wielokulturowości. Heydenkorn jest również autorem polskich haseł w *The Canadian Encyclopedia*.

Stanisław Zybala w pięknej artykule zatytułowanej „Benedyktyński żywot Bumka Heydenkorna” nazwał go „ojcem polonijnego pamiętnikarstwa w Kanadzie”. Kto czytał te pięć tomów w języku polskim i jeden po angielsku, ten musi być pod wielkim wrażeniem ogromu pracy włożonej w organizowanie i przeprowadzenie konkursów na pamiętniki a następnie ich opracowanie i wydanie drukiem. Wzbogacają one znamienne dokumenty odzwierciedlając polską obecność w Kanadzie, a samo już sprowokowanie tylu ludzi do spisania swoich przeżyć i doświadczeń jest zasługą nie lada. Pamiętniki, które nie zostały wybrane do druku, są obecnie przechowywane w archiwach w Ottawie i Toronto. Pamiętniki wydane stanowią nie tylko poszerzenie naszej wiedzy o emigracji, ale są fascynującą lekturą i świadectwem naszego pobytu na ziemi kanadyjskiej.

Na podstawie lektury tych pamiętników nasuwa się m.in. wniosek o braku ciągłości fal emigracyjnych. Ostatnia fala z lat osiemdziesiątych dla przykładu, różni się zasadniczo od poprzednich w układzie społecznym oraz młodym wiekiem przybyłych. Ludzie ci Polskę opuścili dobrowolnie, mają dobre wykształcenie, cenione nieraz zawody, pochodzą oni głównie z miast.

Pisząc o swoim wielkim przyjacielu, entuzjastycznym działaczu społecznym, inż. Wojciechu Krajewskim, Heydenkorn określił, moim zdaniem, częściowo siebie, mówiąc:

„Nie głosił haseł politycznych, usuwał na bok tarcia organizacyjne w imię wychowania młodzieży, zatrzymywania jej w Polsce. Dlatego zwalczał skrajności, tępił ostrości, wzywał do wzajemnej tolerancji, do uznania ewentualnych różnic, które bynajmniej nie znaczą wrogości. Z tą gałązką oliwną zjawiał się na zjazdach, posiedzeniach, ale z trudem i rzadko odnosił sukcesy.

Heydenkorn połączył historię Polonii przedwojennej i powojennej, ukazał kanadyjskim gospodarzom bogatą jej aktywność, dojrzałość aspiracji organizacji polonijnych i szeroki wachlarz ich zainteresowań i kompetencji. Pasował Polonię na pełnoprawnego członka kanadyjskiej rodziny. Zastawszy Polonię zróżnicowaną, ale zasadniczo mało widoczną jeśli wręcz nie anonimową, zostawił ją zbadaną, opisaną i przedstawioną Kanadyjczykom w oficjalnych językach. Stworzył, względnie przyczynił się do powstania pokażnej biblioteczki rzetelnych dzieł dających dobre wyobrażenie o polskiej społeczności. Na tych podwalinach może śmiało budować kolejna fala imigrantów z Polski.

Heydenkorn nie lubił udzielać wywiadów. Tłumaczył mi kiedyś:

„Nie mam „melodii” do wywiadów, nigdy nie miałem i dlatego z zasady nie udzielałem. Nie umiem też mówić o sobie, bardzo nawet nie lubię. Nie odpowiadałem na ankiety, kwestionariusze itp. Nie wiem, czy to wstyd a raczej bardzo daleko posunięta „intymność”, „prywatność”. Jak daleko sięga moja pamięć wstydziłem się rozbiierać, obnażać, krępowało mnie gdy inni to robili w mojej obecności. Myślę iż są sprawy, przeżycia, my-

sli, które winny pozostać tylko i wyłącznie u jednostki. Są osobistą tajemnicą i bynajmniej to nie muszą być zagadnienia ważne, bardzo istotne, — oczywiście te również — ale jakieś specjalnie intymne.

Miał kilka ofert, by napisać pamiętnik. Zachęcali go przyjaciele ale nie zdecydował się na żadną argumentując, że o samym „Związkowcu”, o politykach, interesujących ludziach mogą pisać ci, którzy mają ścisłe notatki. Wtedy mogą wskrzesić przeszłość. Bo po czasie wiele rzeczy się miesza, wiele się zapomina. Ludzie piszący wspomnienia bez autentycznego podkładu albo zmyślają albo mieszają. Najczęściej piszą bajki, aby siebie wybielić a innych przy okazji pogрызć.

Heydenkorn pisał dużo, często tekstów swoich nie sygnował, żadnych manuskryptów nie przechowywał i nie zbierał odbitek swoich prac. Kiedy poszedł na emeryturę, nie mógł wracać do dawnych prac i nie podejmował prób rekonstrukcji przeszłości nie posiadając zapisów czy dziennika. Szkoda to wielka i on sam bolał nad tą sytuacją widząc, że wiele artykułów przepadło bezpowrotnie. Bo nawet do recenzji, a pisał ich bardzo dużo, robił sobie notatki i rzadko tylko ograniczał się do jednej lektury omawianej książki. Żałował tego, czego nie zdążył dokonać, nie skończył monografii „Gazety Katolickiej”, której znaczący drukowany fragment pokazuje doskonale udokumentowaną pracę.

Aczkolwiek nigdy nie pisał wierszy, poezję lubił i poważał. Przywiązywał do niej wielką wagę, lecz miał swoje predykcje. Czytał chętnie dzieła obojga Noblistów, ale wolał siłę wewnętrzną poezji Zbigniewa Herberta. Często kręcił głową nad wierszami znajduwanymi ostatnimi laty w „Kulturze”. Wydawały mu się wprost okropne, nie na poziomie. „Po co pisane, dla kogo pisane i co one mają reprezentować”, białal. Był pod urokiem poezji J. Kasprowicza i L. Staffa. Nad wierszami tego ostatniego potrafił się rozczulić. Nie będąc miłośnikiem modnej w czasie wojny i po wojnie poezji żołnierskiej, gorliwie ją jednak propagował. Nie podzielał entuzjazmu dla tematyki Sienkiewicza lecz cenil jego niezrównany dar i talent, mistrzowską umiejętność przekazywania aury, ducha polskości. Stawiał go pod tym względem wyżej od najlepszych, od ks. P. Skargi i St. Wyspiańskiego. O Norwidzie miał zdanie, że ten poeta ma wiersze bardzo piękne i takie jakby złamane w sobie, ze skazą, niewydarzone, szlachetne eksperymenty, które nie wyszły. Dopiero wnuki miały je zrozumieć, a tu już prawnuki też mają trudności z tymi tekstami. Niemniej był w Norwidzie zakochany za jego totalny indywidualizm, za jego niezależność i samotność. Nie poważał natomiast poezji Przybosa. Lubil Łobodowskiego jako poetę, ale prozę jego cenil mniej. Inną jego twórczość nazywał polajanką niewybredną stylem i językiem komunistycznej hałastry. Łobodowski „Problematykę ukraińską, stosunki polsko-ukraińskie omawiał namiętnie, z pasją. Nieraz miłość i obrona Ukrainy nasycona była niesprawiedliwością wobec Polski — w najszerszym tego słowa znaczeniu”.

Choć niepokąźnego wzrostu był człowiekiem nietuzinkowego formatu, dziennikarzem z charakterem. Bystry, niezwykle czytany, obdarzony doskonałą pamięcią był osobą odważną i często upartą choć właściwie miękka i łagodna. Nie znosił bufonów i hochsztaplerów, których na emigracji nigdy nie brakuje. Był twardym orzechem do zgryzienia przez swoją niezależność, skromność, pracowitość, sumiennosc i lojalność. To był człowiek bezinteresowny i nie do kupienia.

Pamiętam jak jakaś pani z Ottawy nadesłała mu komunikat z prośbą o ogłoszenie w „Związkowcu”, piśmie, jak chwaliła, poczytnym i znakomitym. List przyszedł na adres od lat już nieaktualny. Heydenkorn pokwitował przesyłkę lapidarnym „Łze!” i wrzucił do wielkiego kosza stojącego w redakcji. Będąc profesjonalistą, nie pozwalał sobą pomiatać dyrekcjom prasowym, zdobywając sobie rozgłos i prestiż. Był ozdobą swojej funkcji, która za jego czasów, choć liche dawała wynagrodzenie, przynosiła prestiż i ludzką wdzięczność za załatwianie wielu spraw czytelników, którzy z całym zaufaniem wtedy zwracali się po radę do redaktora w najrozmaitszych sytuacjach, jako do człowieka z autorytetem i wpływem.

Nienawidząc fuszerki, bylejąkości i łatwizny, bardzo wysoko cenil społeczników i sumiennych fachowców. Rudolfa Koglera nazwał bardzo dobrym, uczciwym statystykiem, który opracowywał sprawozdania dla rządu federalnego. Kogler był ofiarnym bezinteresownym pracownikiem. Jako rzetelny statystyk sprzeciwiał się nieprawdziwym, z chybionego patriotyzmu nadymanym liczbom, w których się lubujemy, a także kwestionował uważanie za Polaków emigrantów w trzecim pokoleniu. Powtarzał, że liczy się rzeczywistość a nie chciejstwo. Solidaryzował się też z poglądami Koglera wyluszczoneymi w wywiadzie tego ostatniego z Aleksandrą Ziółkowską w 1991 roku:

Kongres oraz organizacje członkowskie nie powinny wtrącać się do działalności politycznej w Polsce w jakiegokolwiek formie. Uważam, że działalność taka jest przywilejem lub obowiązkiem tych, którzy w Polsce mieszkają, bo oni będą ponosić odpowiedzialność i skutki ich poczynań politycznych. My, mieszkańcy Kanady, nie mamy moralnego prawa ingerować w polityczne spory i przetargi polityczne w Polsce, ponieważ nie będziemy ponosić żadnych konsekwencji z tej ingerencji wynikających. Żyjąc poza Polską jesteśmy skazani na rolę życzliwych obserwatorów życia politycznego w Polsce, i nic więcej.

Wielkim respektem darzył Stanisława Zybale, posiada on „... ogromne poczucie humoru i pozbawiony jest nadętej, koturnowej powagi; błyskotliwy, mistrzowsko operuje docinkami w dyskusjach; trzeźwy w ocenach nie daje się uwieść efekciarskim pozorom, ale stara się dotrzeć do sedna rzeczy...”

Bolał nad stratami naszej społeczności: „Jestem bardzo przygnębiony. Wczoraj przed południem zmarł na udar serca Tadeusz Glista a wiesz jak byliśmy bliscy... Straciłem serdecznego i dobrego przyjaciela a myślę iż Polonia jednego z najwybitniejszych działaczy pokolenia tutaj urodzonego” pisał w liście.

Będąc osobą suwerenną, nie pozwalającą, by nim rządzono, stał się celem częstych napaści i nagonek, które przyjmował z wyrozumiałością doświadczonego człowieka. Nie skarżył się, choć nieraz potrafił w prywatnych listach takie ataki nazwać po imieniu: „Jak długo mam czyste sumienie nie przejmuję się najohydniejszymi oszczerstwami [...] Wiedziałem, iż... jest świnią i chyba również nienormalny. Dszysy ponadto — jak niektórzy mu podobni — nienawiścią do wszystkich, którym coś zazdrości...”

Kiedy sam stałem się przedmiotem insynuacji, pocieszał mnie, bym nie oczekiwał niczego innego „... jak kamieni, kublów obrzydliwości itp. Swoje jednak trzeba robić. Całe życie byłem bity i kopany, ale nie potrafili mnie ani zgnoić ani zgniebić. Byłem i zostałem nonkonformistą. Miałem najsilniejsze oparcie w żonie”. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Pani Anna znakomicie potrafiła zabezpieczyć Bumkowi byt i umożliwić godzive życie intelektualisty i społecznika na emigracji. Ich ponad pięćdziesięcioletnie szczęśliwe pożycie małżeńskie dały Bumkowi podstawy materialne i psychiczne, na których mógł rozwinać swoje talenty dziennikarskie i społeczno-kulturalne. Żona dała mu skromny ale śliczny i komfortowy dom, pełen obrazów i rzeźb emigracyjnych artystów, dom, odwiedzany chętnie przez przyjaciół z bliska i daleka, łącznie z całą generalacją „Tygodnika Powszechnego” i KUL-u włącznie. W bogatej bibliotece można było znaleźć książki dedykowane mu przez wybitnych pisarzy. Ze ścian spoglądała skupiona twarz ukochanego Komendanta. Nie była to z pewnością tylko dekoracja czy pamiątka.

Do końca interesowała go prasa polonijna, czytał i komentował ją. Oglądając meandry „Związkowca” zauważał jego brak stateczności, ustawiczne zmiany redaktorów. Mawiał, że każdy numer jest inny. Z doświadczenia wiedział, że gazeta jest czymś nietrwałym, dziś się ją czyta a jutro wyrzuca. Dlatego nie rozumiał drukowania artykułów w częściach, uważał, że wszystko musi się mieścić w tym samym numerze. Nie widział sensu dawania powieści w odcinkach. Kiedyś, owszem, wycinano je i zbierano, bo trudno było o książki. Ale dziś? Dziwował się ogłaszaniu tasiemcowych listów do redakcji. Przeciwny był używaniu ordynarnego języka w prasie. Mawiał, że to dziedzictwo komunistów, którzy dziś poszli w podziemie, ale chamstwo pozostało na wierzchu. W piśmie szukał artykułu wstępnego. Badał, czy redaktor jest za czymś czy przeciwko czemuś. Nie považał ludzi bez twarzy. Śmiał się z buńczucznych zapowiedzi i bombastycznych oczekiwań, kiedy rzeczywistość pokazywała, że autorzy nie cieszą się żadnym autorytetem i poparciem, a ich zamiary i wyobrażenia przerastały ich możliwości. Liczyła się u niego rzeczywistość a nie mrzonki, wspomnienia i chciejstwo.

Kiwał dobrodusznie głową nad hałaśliwą autokremlą wątpliwych emigracyjnych notabli o nadętych życiorysach i przemilczanych potknięciach, ludzi, którzy z palca wyssali tytuły i pozycje, bajali o niesprawdzonych dokonaniach, którzy ośmieszali się w chorobliwym pragnieniu, by zaimponować naiwnym. Rozpoznawał nagle nawróconych, lawirujących na emigracji aparatczyków. Może dlatego sam stronił od tej fałszywej reklamy nacechowanej zazwyczaj proliferacją fotografii mającą zatuszować brak substancji, od promowania siebie za wszelką cenę. Uważał to za brak dojrzałości. Nie znosił karierowiczów, cwaniactwa, i zawiści. Nie był lasy na pieniądze ani na zaszczyty i odznaczenia. Bawiły go owce pędy do orderów i wyróżnień. Na ludziach znalazł znakomicie i wiedział, że nie tak wielu było zasłużonych w tej galerii przepychanek lansowanej

przez różnych szalbierzy. Raczej z zażenowaniem mówił o tym, że dostał Złotą Odznakę Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz order Polonia Restituta od ostatniego Prezydenta Rządu Emigracyjnego.

Popierał dobrą robotę. Zachęcał bez końca, inspirował, nakłaniał do wysiłku, doradzał, podsuwał materiały, polecał lekturę. Imponowali mu ludzie czynu bez rozgłosu osiągnący cel swój, ofiarni, nacechowani młodzieńczym optymizmem, radzący, jak najlepiej służyć wszystkim. Do nich zaliczał m.in. ks. St. Puchniaka, ks. J. Smitha, ks. J. Capigę, inż. Z. Przygodę.

Heydenkorn nigdy nie miał samochodu, zapewniał mnie też, że również nigdy nie posiadał konta bankowego. Bawiło go moje zaafierowanie kanadyjską przyrodą i na mój entuzjastyczny list sprzed laty, odpowiedział spokojnie:

Nie wybieram się do lasu ani nad jezioro. Nie znoszę komarów, nie uprawiam żadnych sportów. Kocham muzykę, lubię dobre koniaki, piękne kobiety, wesołe dzieci, rozmowy z miłymi ludźmi. Bardzo konserwatywne i staroświeckie zamiłowania, prawda? No, trudno, już chyba nie zmienię się.

Heydenkorn pasjonował się muzyką klasyczną i operą. Jak długo mógł, chodził na koncerty. Doczekał się nie lada pochwały, bo w egzemplarzu książki Stefana Kisielewskiego *Gwiazdozbiór muzyczny* znalazłem następującą dedykację: „Bumkowi Heydenkornowi jedynemu prawdziwemu miłośnikowi muzyki jakiego znam. Stefan Kisielewski. Toronto 17 XI 73”.

Straciliśmy pilnego pracownika na polu polonijnej samowiedzy w Kanadzie i niestrudzonego animatora życia kulturalnego. Odszedł kolejny reprezentant ideowej emigracji żołnierskiej. Zamilkł jeszcze jeden z pocztu wspomniałych.

Florian Śmieja (Kanada)